

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

PRAWDA

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT
PRAWDA

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE TRUTH

Copyright © Terry Pratchett 1999
This edition is published by arrangement with Transworld Publishers,
a division of the Random House Group Ltd.
All rights reserved

Projekt graficzny serii
Zombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce
Copyright © Josh Kirby via Agentur Schlück GmbH

Redakcja
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna
Elżbieta Urbańska

Korekta
Grażyna Nawrocka

Łamanie
Ewa Wójcik

ISBN 978-83-7648-442-6

Fantastyka

Wydawca
Prószyński Media Sp z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7
www.proszynski.pl

Druk i oprawa
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII	★
★	ZADZIWIĄJĄCY MAURZYCY I JEGO
BLASK FANTASTYCZNY	UCZONE SZCZURY
★	★
RÓWNOUMAGICZNIENIE	NA GLINIANYCH NOGACH
★	★
MORT	WIEDŹMIKOŁAJ
★	★
CZARODZICIELSTWO	WOLNI CIUTLUDZIE
★	★
ERYK	BOGOWIE, HONOR,
★	ANKH-MORPORK
TRZY WIEDŹMY	★
★	OSTATNI KONTYNET
PIRAMIDY	★
★	CARPE JUGULUM
STRAŻ! STRAŻ!	★
★	PIĄTY ELEFANT
RUCHOME OBRAZKI	★
★	PRAWDA
NAUKA ŚWIATA DYSKU I, II i III	★
★	ZŁODZIEJ CZASU
KOSIARZ	★
★	ZIMISTRZ
WYPRAWA CZAROWNIC	★
★	STRAŻ NOCNA
POMNIEJSZE BÓSTWA	★
★	POTWORNY REGIMENT
PANOWIE I DAMY	★
★	PIEKŁO POCZTOWE
ZBROJNI	★
★	ŁUPS!
MUZYKA DUSZY	★
★	ŚWIAT FINANSJERY
CIEKAWY CZASY	★
★	HUMOR I MĄDROŚĆ
MASKARADA	ŚWIATA DYSKU
★	★
OSTATNI BOHATER	NIEWIDOCZNI AKADEMICY

Notka autora

Czasami autor fantasy musi wskazać dziwne zjawiska rzeczywistości. Sposób, w jaki Ankh-Morpork radziło sobie z problemem powodzi (por. str. 243 i dalej), w niezwykle sposób przypomina metody zastosowane w mieście Seattle (stan Waszyngton) pod koniec dziewiętnastego wieku. Naprawdę. Pojedźcie tam i sami się przekonajcie. A przy okazji spróbujcie potrawy z małży.



Plotka rozprzestrzeniała się po mieście jak pożar (który rozprzestrzeniał się dość często, odkąd mieszkańcy Ankh-Morpork poznali znaczenie terminu „ubezpieczenie od ognia”).

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto...

Wibrowała w cuchnącym powietrzu dzielnicy Alchemików, którzy od stuleci próbowali osiągnąć to samo, na razie bez sukcesów, ale byli pewni, że uda się już jutro, a najdalej w przyszły wtorek. W każdym razie nie później niż do końca miesiąca.

Wywoływała spekulacje wśród magów Niewidocznego Uniwersytetu, którzy wiedzieli, że można zamienić jeden pierwiastek w drugi, jeśli tylko człowiekowi nie przeszkadza, że następnego dnia zmieni się z powrotem, a w takim razie po co to komu? Poza tym większość pierwiastków jest całkiem zadowolona ze swego stanu.

Plotka przebiła się do poharatanych, opuchniętych, a czasem całkiem brakujących uszu Gildii Złodziei, gdzie ludzie ostrzyli już łomy. Kogo obchodzi, skąd się bierze złoto?

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto...

Plotka dotarła do spokojnych, ale niewiarygodnie czułych uszu Patrycjusza, w dodatku szybko, ponieważ nie da się długo rzą-

dzić Ankh-Morpork, jeśli człowiek nie śledzi najnowszych wieści. Patrycjusz westchnął, zanotował ją i dołożył do bardzo wielu innych notatek.

Krasnoludy potrafią zmieniać ołów w złoto...

Plotka dotarła też do spiczastych uszu krasnoludów.

– Potrafimy?

– Nie mam pojęcia. Ja na przykład nie potrafię.

– No tak, ale gdybyś potrafił, i tak byś się nie przyznał. Ja bym się nie przyznał, gdybym potrafił.

– A potrafisz?

– Nie.

– Aha!



Plotka dotarła do uszu Nocnej Straży, a konkretnie oddziału pełniącego służbę przy bramie, o dziesiątej wieczorem w lodowatą noc. Służba przy bramie w Ankh-Morpork nie jest wymagająca. Polega głównie na machaniu ręką i przepuszczaniu wszystkiego, co zechce przejechać przez bramę, chociaż w ciemności i zimnej mgłę ruch był minimalny.

Kulili się pod łukiem bramy i wspólnie palili jednego wilgotnego papierosa.

– Nie można zamienić czegoś w coś innego – stwierdził kapral Nobbs. – Alchemicy próbują to zrobić od lat.

– Ale na ogół potrafią zamienić budynek w dziurę w ziemi – zauważył sierżant Colon.

– O to mi właśnie chodzi – zgodził się kapral Nobbs. – Niemożliwe. To ma związek z pierwiastkami. Jeden alchemik mi tłumaczył. Wszystko jest zrobione z pierwiastków, tak? Ziemia, Woda, Powietrze, Ogień i... coś. Powszechnie znany fakt. I we wszystkim one są wymieszane tak jak należy.

Zatupał, żeby trochę rozgrzać stopy.

– Gdyby dało się zmienić ołów w złoto, wszyscy by to robili – dokończył.

– Magowie to robią – przypomniał sierżant Colon.

– No wiesz, magia... – Nobby machnął ręką.

Duży wóz wytoczył się z żółtych oparów i wjechał w bramę, ochlapując Colona wodą z kałuży – obiektu charakterystycznego dla dróg przelotowych Ankh-Morpork.

– Przekłęte krasnoludy – mruknął Colon, gdy wóz odjechał w stronę miasta. Ale nie mruknął zbyt głośno.

– Sporo ich popychało ten wóz – stwierdził refleksyjnie kapral Nobbs.

Wóz, kołyszając się, zniknął za zakrętem.

– To pewnie całe to złoto.

– Ha. No tak. To by było na tyle.



Plotka dotarła również do uszu Williama de Worde i w pewnym sensie tam się zatrzymała, ponieważ sumienie ją zanotował.

Na tym polegała jego praca. Lady Margolotta z Überwaldu posyłała mu za to pięć dolarów miesięcznie. Księżna wdowa Quirmu także posyłała mu pięć dolarów. I król Verence z Lancre oraz kilku innych arystokratów z Ramtopów. Podobnie szeryf Al Khali, choć w jego przypadku na płatność składało się pół wozu fig dwa razy w roku.

Ogólnie rzecz biorąc, uważał, że nieźle się urządził. Musiał tylko bardzo wyraźnie napisać jeden list, starannie przerysować go od tyłu na klocku bukszpanowego drewna, dostarczonego mu przez pana Cripslocka, grawera z ulicy Chytrych Rzemieślników, a potem zapłacić panu Cripslockowi dwadzieścia dolarów, by ostrożnie usunął drewno niebędące literami, a następnie wykonał odpowiednią liczbę odbitek na kartkach papieru.

Oczywiście, należało robić to uważnie, pozostawiając wolne miejsca po „Do mojego Szlachetnego Klienta” i podobnych sformułowaniach – później uzupełniał tekst ręcznie. Ale nawet po odjęciu kosztów wciąż pozostawała mu większa część trzydziestu dolarów za jeden dzień pracy w miesiącu.

Młody człowiek pozbawiony licznych zobowiązań mógł w Ankh-Morpork żyć skromnie za trzydzieści do czterdziestu dolarów miesięcznie. Zawsze sprzedawał figi, bo choć można przeżyć, żywiąc się figami, po krótkim czasie człowiek zaczyna tego żałować.

Zawsze też trafiały się zarabiane tu czy tam dodatkowe kwoty. Świat listów był regionem zamkniętym dla wielu obywateli Ankh-Morpork, uważających je za tajemnicze płaskie obiekty. Jeśli jednak potrzebowali przelać coś na papier, wielu z nich wchodziło po skrzypiących schodach obok szyldu „William de Worde: Zapisywanie Rzeczy”.

Na przykład krasnoludy. Krasnoludy zawsze szukały pracy w mieście, a po przybyciu natychmiast wysyłały do domu list mówiący o tym, jak doskonale sobie radzą. Zdarzało się to tak regularnie – nawet jeśli konkretnemu krasnoludowi szczęście do tego stopnia nie sprzyjało, że musiał zjeść własny hełm – że William zamówił u pana Cripslocka kilkadziesiąt typowych listów, które należało uzupełnić tylko w kilku wolnych miejscach, by stały się całkiem akceptowalne.

Kochający krasnoludzi rodzice w całych górach czule przechowywali listy wyglądające mniej więcej tak:

Kochani [**Mamo & Tato**]

No więc dotarłem tu bez kłopotów i zatrzymałem się, przy [**Kogudziobnej 109, Mroki, Ankh-Morpork**]. Wszystko dobrze. Mam dobrą posadę pracującą, dla [**p. G.S.P. Dibblera, przedsiębiorcy handlowego**] i będę już niedługo zarabiał dużo pieniędzy. Pamiętam wszystkie wasze dobre porady, nie piję, w barach i się nie zadaje ze Trollami. No i to hyba tyle, muszę iść, mam nadzieję, że niedługo znów zobaczymy was i [**Emelię**], wasz kochający syn

[**Tomas Złamobrew**]

... który zwykle chwiał się nieco, kiedy dyktował. To było łatwo zarobione dwadzieścia pensów, a w ramach usługi dodatkowej William starannie dobierał ortografię, by odpowiadała klientowi, i pozwalał wybierać własną interpunkcję.

Tego konkretnego wieczoru, kiedy deszcz ze śniegiem spływał rynnami na zewnątrz jego kwatery, William siedział w malutkim gabinecie nad Gildią Iluzjonistów i pisał starannie, nieuważnie słuchając smętnego, ale skrupulatnego katechizmu przyszłych iluzjonistów z kursu wieczorowego, odbywającego się w sali na dole.

– ...uważajcie. Gotowi? Dobrze. Jajko. Kieliszek...

– Jajko. Kieliszek – powtarzała apatycznie klasa.

- ...Kieliszek. Jajko...
- Kieliszek. Jajko.
- ...Magiczne słowo...
- Magiczne słowo...
- Fazammm. I gotowe. Ahahahahaha...
- Faz-ammm. I gotowe. Aha-ha-ha-ha-ha...

William sięgnął po następną kartkę, zaostrzył świeże pióro, przez chwilę wpatrywał się w ścianę, po czym napisał, co następuje:

I w końcu, z zabawniejszych wieści, mówi się, że Krasnoludy potrafią Zmienić Ołów w Złoto. Nikt nie wie, skąd się owa plotka wzięła, a Krasnoludy chodzące po Mieście w swych słufnych sprawach witane są okrzykami jak na przykład „Hola, kurduplu, pokaż no, jak zrobić trochę złota!”, choć czynią tak jedynie Nowo Przybyli, gdyż w fycy tu wiedzą, co się dzieje, kiedy nazwać Krasnoluda „kurduplem”, tzn. jest się Martwym.

Twój uniżony Sługa, William de Worde

Zawsze lubił kończyć swoje listy jakimś weselszym akcentem.

Sięgnął po klocek bukszpanu, zapalił drugą świecę i ułożył list na drewnie tekstem w dół. Szybkie potarcie wypukłą stroną łyżki przeniosło atrament na drewno, a trzydzieści dolarów oraz dość fig, żeby człowieka poważnie zemdliło, stały się pewne jak w banku.

Jeszcze dziś wieczorem podrzuci to do pana Cripslocka, a kopie odbierze jutro po spokojnym lunchu. Przy odrobinie szczęścia w połowie tygodnia powinny już być wysłane.

William włożył płaszcz, owinął drewno w nawoskowany papier i wyszedł w zimną noc.



Świat zbudowany jest z czterech elementów: Ziemi, Powietrza, Wody i Ognia. To fakt dobrze znany nawet kapralowi Nobbsowi. A także błędny. Istnieje również piąty element, zwany ogólnie Niespodzianką.

Na przykład: krasnoludy znalazły metodę przemiany ołowiu w złoto, ale czyniły to trudniejszym sposobem. Różnica między nim a łatwym sposobem polega na tym, że trudny działa.



Krasnoludy pchały swój przeladowany, skrzypiący wóz wzdłuż ulicy, wytrzeszczając oczy we mgłę. Lód tworzył się na wozie, sople zwisały im z bród.

Wystarczyłaby jedna zamarznięta kałuża.

Dobra stara pani Fortuna... Można na niej polegać.



Mgła zgęstniała, zmieniając każde światło w mętnie lśniąca płamę i tłumiąc wszystkie odgłosy. Dla kaprała Nobbsa i sierżanta Colona stało się oczywiste, że żadna horda barbarzyńców raczej nie włączy inwazji na Ankh-Morpork w swoje plany podrózne tego wieczora. Strażnicy nie mieli do nich żalu.

Zamknęli bramę. Nie była to czynność tak dramatyczna, jak mogłoby się wydawać, jako że klucze zginęły gdzieś już dawno. Spóźnieni podróżni zwykle rzucali kamykami w okna domów zbudowanych na szczycie muru, aż trafili na znajomego, który podnosił sztabę. Zakładano, że obcy najeźdźcy nie będą wiedzieli, w które okna rzucać kamykami.

Następnie obaj strażnicy powlekli się przez błoto i topniejący śnieg do Bramy Wodnej, przez którą rzeka Ankh miała szczęście wlewać się do miasta. Woda była niewidoczna w mroku, ale niekiedy dryfował pod parapetem widmowy kształt kry lodowej.

– Chwila – rzucił Nobby, kiedy chwycili za kołowrót kraty.
– Ktoś tam jest na dole.

– W rzece? – zdziwił się Colon.

Zaczął nasłuchiwać. Daleko w dole usłyszał skrzypienie wiosel.

Zwinął dłonie przy ustach i wydał tradycyjny okrzyk policyjnego wezwania:

– Hej! Ty!

Na chwilę zapadła cisza; słychać było tylko wiatr i szum wody. Potem odezwał się głos.

– Tak?

– Atakujecie miasto czy co?

Znowu chwila milczenia. I:

– Co?

– Co co? – Sierżant Colon podniósł stawkę.

– Jakie były inne możliwości?

– Nie gadaj mi tu głupot... Czy wy, tam na dole, w łódce, atakujecie miasto?

– Nie.

– To w porządku – ucieszył się Colon, który w taką noc chętnie wierzył ludziom na słowo. – No to ruszajcie się, bo zaraz opuszczamy kratę.

Po chwili wiosła zachlupotały, a ich skrzywienie ucichło w dole rzeki.

– Myślisz, że to wystarczy tak ich zwyczajnie zapytać? – odezwał się Nobby.

– Przecież powinni wiedzieć – odparł Colon.

– No tak, ale...

– To była malutka łódka wiosłowa, Nobby. Oczywiście, jeśli masz ochotę schodzić na sam dół po tych ślicznie oblodzonych stopniach, aż na nabrzeże...

– Nie, sierżancie.

– No to wracajmy na komendę.



William podniósł kołnierz płaszcza, spiesząc do Cripslocka, grawera i rytownika. Zatłoczone zwykle ulice były puste. Tylko najpilniejsze sprawy skłaniały dzisiaj ludzi do wyjścia. Zapowiadała się bardzo paskudna zima, mieszanina marznącej mżawki, śniegu i wiecznie obecnego, wiecznie się kłębiącego smogu Ankh-Morpork.

Wzrok Williama przyciągnęła niewielka plama światła w pobliżu Gildii Zegarmistrzów. W blasku widoczna była niska, przygarbiona sylwetka.

Podszedł bliżej.

– Gorąca kielbaska? – zaproponował głos brzmiały tak, jakby stracił wszelką nadzieję. – W bułce?

– Pan Dibbler? – upewnił się William.

Gardło Sobie Podrzynam Dibbler, najbardziej przedsiębiorczo pechowy biznesmen Ankh-Morpork, przyjrzał się Williamowi ponad swą przenośną tacą do gotowania kielbasek. Płatki śniegu syczały w krzepnięym tłuszczu.

William westchnął.

– Pracuje pan do późna, panie Dibbler – stwierdził grzecznie.
– Ach, to pan Word. Czasy są ciężkie w branży handlu gorącymi kielbaskami.

– Trudno związać koniec z mięsem, co? – zapytał William.

Nie mógłby się powstrzymać nawet za sto dolarów i cały statek fig.

– Wyrażny krach na rynku spożywczym – przyznał Dibbler, zbyt głęboko pogrążony w smutku, żeby cokolwiek zauważyć.
– Trudno ostatnio znaleźć kogoś chętnego do zakupu kielbaski w bułce.

William przyjrzał się tacy. To, że Gardło Sobie Podrzynam Dibbler sprzedawał gorące kielbaski, było pewnym znakiem, że jego bardziej ambitne przedsięwzięcie znowu poszło śladem zgniłych wahooń. Handel gorącymi kielbaskami z tacy był stanem podstawowym egzystencji Dibblera, który przez cały czas usiłował wznieść się ponad niego i bezustannie do niego wracał, kiedy najnowszy interes się rozsypywał. Właściwie szkoda, ponieważ Dibbler był doskonałym sprzedawcą gorących kielbasek. Musiał być, biorąc pod uwagę owych kielbasek naturę.

– Powiniennem zdobyć porządne wykształcenie, jak pan – oświadczył przygnębiony Dibbler. – A potem miła robota pod dachem, bez dźwigania ciężarów. Mógłbym znaleźć swojego nicza, gdybym odebrał wykształcenie.

– Nicza?

– Któryś z magów mi o nich opowiedział. Wszystko ma swojego nicza. No wie pan... Takie miejsce, gdzie powinno być. Do czego się nadaje...

William pokiwał głową. Znał się na słowach.

– Niszę? – upewnił się.

– Coś podobnego, tak. – Dibbler westchnął. – Przegapiłem semafor. Po prostu nie zauważyłem, że to będzie szal. A potem ani się obejrzałem, a każdy miał już firmę sekarową. Wielkie pieniądze. Za wielkie jak na mój gust. Ale mogło mi się udać z Fungiem Szują. Zwyczajny pech.

– Naprawdę poczułem się lepiej, kiedy ustawiłem krzesło w innym miejscu – zapewnił go William.

Ta rada kosztowała go dwa dolary, wraz z zaleceniem, by zamykał klapę od wygodki, żeby Smok Nieszczęśliwości nie wleciał mu w siedzenie.

– Był pan moim pierwszym klientem i jestem za to wdzięczny – rzekł Dibbler. – Wszystko już miałam przygotowane, gongi Dibblera, lusterka Dibblera, forsa tylko czekała... To znaczy, wszystko było już ułożone dla osiągnięcia maksymalnej harmonii, ale wtedy... bęc! Zła karma znów na mnie spadła.

– No ale pan Passmore dopiero po tygodniu znowu mógł chodzić – przypomniał William.

Przypadek drugiego klienta Dibblera okazał się bardzo użyteczny dla jego listu z wieściami, co poniekąd wyrównało stratę tych dwóch dolarów.

– Skąd mogłem wiedzieć, że Smok Nieszczęśliwości naprawdę istnieje? – poskarżył się Dibbler.

– Bo chyba go nie było, dopóki pan go nie przekonał, że jest. Dibbler poweselał trochę.

– Co tam. Można mówić, co się chce, ale zawsze dobrze mi szła sprzedaż idei. Czy zdołam pana przekonać do idei, że kiełbaska w bułce jest właśnie tym, czego obecnie pan pragnie?

– Właściwie muszę zanieść to do... – zaczął William i wyteńczył słuch. – Zdaje się, że ktoś krzyczał...

– Mam gdzieś tutaj zimne paszteciki z mięsem. – Dibbler pogrzebał na tacy. – Mogę zaproponować przekonująco okazijną cenę na...

– Na pewno coś słyszałem – przerwał mu William.

Dibbler nastawił ucha.

– Coś jakby turkotanie?

– Tak.

Wpatrywali się w skłębione opary przesłaniające Broad-Way.

Które to opary całkiem nagle stały się wielkim wozem przykrytym brezentem, sunącym niepowstrzymanie i bardzo szybko...

– Zatrzymać prasę!

Ten okrzyk William jeszcze usłyszał, zanim coś wyskoczyło z ciemności i trafiło go między oczy.



Plotka, piórem Williama przypięta do papieru niczym motyl do kawałka korka, nie dotarła do uszu pewnych osób, ponieważ zajęte były innymi, bardziej mrocznymi sprawami.

Łódź sunęła po syczących wodach rzeki Ankh, które zamykały się za nią bardzo powoli.

Dwaj ludzie pochylali się nad wiosłami. Trzeci siedział na spiczastym końcu. Od czasu do czasu się odzywał, jak na przykład:

– Nos mnie śwędzi.

– Musisz zaczekać, aż dopłyniemy na miejsce – odparł jeden z wiosłujących.

– Moglibyście znów mnie wypuścić. Okropnie śwędzi.

– Wypuściliśmy cię, kiedy się zatrzymaliśmy na kolację.

– Ale wtedy nie śwędział.

Odezwał się drugi z wiosłujących.

– Czy mam mu znowu przyłożyć ...onym wiosłem w ten jego ...ony łeb, panie Szpilo?

– Dobry pomysł, panie Tulipanie.

W ciemności rozległo się głuche uderzenie.

– Au!

– A teraz dość już narzekań, przyjacielu, bo pan Tulipan straci cierpliwość.

– ...ona racja.

Potem zabrzmiał odgłos, jakby ruszyła pompa przemysłowa.

– Hej, bez przesady z tym paskudztwem, dobrze?

– Jeszcze mnie nie zabiło, panie Szpilo.

Łódź wyhamowała powoli przy niedużym, rzadko używanym pomoście. Wysoka postać, która niedawno stała się obiektem działań pana Szpili, została wyciągnięta na brzeg i poprowadzona wzdłuż uliczki.

Po chwili zaturkotał odjeżdżający powóz.

Wydawało się całkiem niemożliwe, by w tak ponurą noc kokolwiek mógł być świadkiem tej sceny.

Ale był. Wszechświat wymaga, by wszystko miało swego obserwatora. W przeciwnym razie przestanie istnieć.

Z pobliskiego zaułka wyszła jakaś postać, powłócząc nogami. Jakaś mniejsza postać sunęła niepewnie tuż obok. Obie spoglądały za odjeżdżającym powozem, aż zniknął w padającym śniegu.

– No, no, no... to ciekawe – odezwała się mniejsza z dwóch postaci. – Jakiś człowiek, cały zawinięty i w kapturze. Fardzo interesujące, prawda?